NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie K. 37·40! Półrocznie K. 74·80. Rocznie K. 149·60.

Zmiana adresu 1 koronę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 2 kor., na miejscu specyalnie zastrzeżonem kor. 2·80 za wiersz nonparelowy jednoszpaltowy 4 kor., za wiersz petitowy w części redakcyjnej 10 kor.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 472.

Naczelny redaktor: **Wincenty Korolewicz.**

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. **Łódz, Piotrkowska 67.**

Numer pojedynczy 3 Marki.

Rok XVII. Kraków, 7 lutego 1920. Nr. 6

Uroczystość „Virtuti militari“ w Warszawie



1) Msza polowa. – 2) Misye zagraniczne. – 3) Naczelnik Państwa w towarzystwie adjutanta Wieniawy Długoszewskiego. 4) Generalicya rozchodzi się po uroczystości.

Uroczystość „Virtuti militari" w Warszawie.

W rocznicę powstania styczniowego odbyła się na placu Saskim w Warszawie uroczystość nadania orderu „Virtuti militari". Wkoło świątyni ustawiło się wojsko konsystujące w Warszawie piechota i artylerya. Przed świątynią zebrali się gremialnie przedstawiciele wszystkich misyi wojskowych, ententy i delegacye oficerów pułków, ministrowie z prez. Skulskim na czele, posłowie Sejmu z marszałkiem Trąpczyńskim, władze municypalne z burmistrzem Drzewickim i prezydentem rady miejskiej Balińskim, generalicya z gen. Hallerem i ministrem wojny Leśniewskim, wiceministrem Majewskim i inni. O godzinie 10 minut 15 przybył Naczelnik Państwa odkrytym powozem, otoczony szwadronem ułanów amarantowych. Po przejściu przed frontem wojska, udał się Naczelnik Państwa do świątyni, gdzie oczekiwał na niego ks. biskup polowy Gall w otoczeniu duchowieństwa, oraz delegacye weteranów z r. 1863. Na piersi Naczelnika Państwa widniał krzyż „Virtuti militari" na niebieskiej wstędze obwiedzionej czarnym rąbkiem".

Kiedy Naczelnik zajął miejsce na przygotowanym dlań fotelu w otoczeniu msgra Battiego oraz generałów Leśniowskiego i Majewskiego, generalny adjutant major Piskor na metalowej tarczy podniósł 11 krzyżów „Virtuti militari" do poświęcenia, której to ceremonii dokonał ks. biskup Gall. Krzyże są srebrne, po stronie frontowej widnieje napis „Virtuti militari", na złotem tle biało emaliowany orzeł polski, całość otoczona jest wieńcem zielonym emaliowanym. Na odwrocie krzyża widnieje na srebnej tarczy napis „Honor i ojczyzna—ok 1792".

Po poświęceniu krzyża ks. biskup Gall odprawił mszę polową, podczas której chóry śpiewały przy akompaniamencie muzyki. Wojsko dało trzykrotną salwę.

Po nabożeństwie Naczelnik Państwa w otoczeniu generalicyi, przedstawicieli ententy, członków rządu, posłów ind. udał się przed świątynię. Tu oczekiwał Naczelnika tymczasowa kapituła krzyża „Virtuti militari", do której przemówił Naczelnik krótko, nazywając członków kapituły najwaleczniejszymi z pośród walecznych, poczem po kolei przypiął odznaki na piersiach członków kapituły. Pierwszemu przypiął krzyż Naczelnik państwa generałowi Hallerowi. Następnie przeszedł Naczelnik ponownie przed frontem wojsk, poczem udał się na plac Saski przed gmach komendy miasta, gdzie odbyła się defilada.



Uroczystość „Virtuti militari" w Warszwie: Pułkownik Zawadzki i adjutant Wierzchowski.

Toruń.

Wobec braku opisów zabytków pomorskich, pismo nasze zamieszczać będzie dokładne i wyczerpujące opisy.

Bogate i potężne niegdyś miasto Toruń zachowało znaczną ilość zabytków budowlanych pierwszorzędnego znaczenia, tem cenniejszych, że są one przeważnie najszerszemi okazami budowli ceglanych pomorskich, a więc dają nam wskazówki co do powstania ceglanego gotyku na Pomorzu.

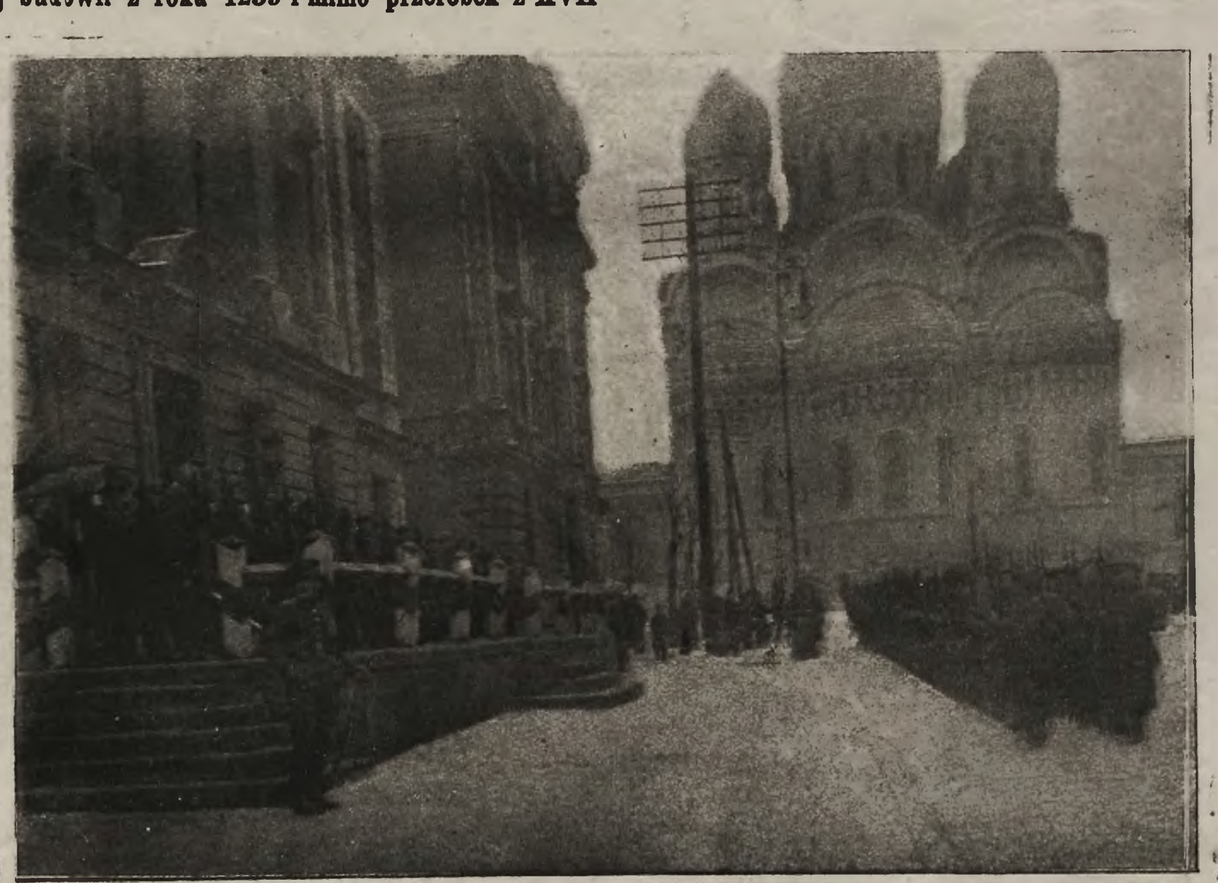
Toruń służył Krzyżakom w czasach najdawniejszych za podstawę działań wojennych w podboju ziemi pruskiej i dlatego miasto było od początku pod silnym wpływem krzyżactwa, gdy Gdańsk dopiero w roku 1308 dostał się pod ich władzę.

Z zamku krzyżackiego pozostały tylko niewielkie zwaliska, a zachowały się lepiej tylko dawne dobudówki, jak osobno stojąca wieża Dansker, połączona z zamkiem krytym chodnikiem, stojącym na łukowych podstawach, podobnie jak w Kwidzyniu. Ten zamek krzyżacki zdobyli i spalili w roku 1454 mieszczanie Toruńscy, co stało się pobudką do powstania w całym kraju. Miasto długo pamiętało o tym wypadku, bo jeszcze w trzechsetną rocznicę wybuchu wojny, która oswobodziła Pomorze z pod jarzma krzyżackiego, wydali medal pamiątkowy z wyobrażeniem palącego się zamku i wylatujących w powietrze murów.

Zachowały się jeszcze ciekawe mury i wieże miejskie, sięgające XIII wieku, dalej znaczna ilość domów mieszkalnych i spichlerzy z okresu gotyku. Domy zdobione są laseczkami o bogatych profilach, ciągnącemi się od spodu aż do szczytu szczytnicy. Godny zwiedzenia jest „Dom Artura", czyli dawna siedziba stowarzyszeń miejskich, zbudowany w początku XV wieku, a z nowszych budowli dom Wendziszów, z fasadą, pokrytą bogatą sztukateryą z końca XVII wieku.

Na Starym Targu wznosi się okazała olbrzymia budowla Staromiejskiego Ratusza. Czworoboczna, podobna do zamkowych wieża, wyrasta z dachu południowo-wschodniej strony. Pozostała ona z dawnej budowli z roku 1259 i mimo przeróbek z XVII i XVIII wieku, zachowała dawny wygląd. Ma ona półpiętro i dwa wyższe piętra. Budowla niższej części przypomina presbyteryum kościoła św. Jana, o którym niebawem powiemy. W końcu XVII wieku dodano na czterech rogach szczytu wieżyczki podobnie jak na ratuszu i szczytnicę w gdańskim baroku. Sam ratusz, wzniesiony w r. 1393, tworzy czworobok, mający na zewnątrz długości 52 metrów, szerokości 43, wewnątrz zaś to jest od strony podworca długości 26, a szerokości 18 metrów. W części dolnej mieściły się sklepy, wyżej urzędy i sądy. Strona zewnętrzna ratusza, z powodu podziału ścian głębokimi znakami, w których umieszczone okna, przypomina zamek papieski w Avignon. Pierwotnie w połowie szerokości każdego z czterech boków była brama, służąca za przejazd do podwórza. Pod ratuszem znajdują się obszerne piwnice wsparte na okrągłych granitowych słupach. Urządzenie wewnętrzne ratusza, wykonane w drzewie, w stylu odrodzenia, zwłaszcza piękną jest ława z miejscami dla trzech ławników z roku 1624, ozdobiona bogatem wykładaniem. Kręcone drewniane schody przeniesiono do miejskiego muzeum.

Na Starem Mieście wznosi się parafialny kościół św. Jana, o trzech nawach jednakowo wysokich, o czterech przęsłach z wieżą, wznoszącą się nad głównem wejściem po stronie zachodniej i prezbyteryum, zbudowanem niedługo po roku 1250, będącem najdawniejszą częścią budowli. Presbyteryum to o trzech sklepionych przęsłach, z których środkowe gwiazdkowe jest zapewne jednym z najdawniejszych przykładów, wogóle sklepień gotyckich, a wszelkie dane przemawiają za tem, że jest ono pierwotne. Nawa i presbyteryum zbudowane są na jednej osi. W presbyteryum żebra okienne wykonane są z piaskowca, co spotykamy ogólnie w najdawniejszym gotyku ceglanym. Szczytnice ozdobione są ślepemi oknami z żebrowaniami ceglanemi, mało jeszcze rozwiniętemi. Niewielkie boczne drzwi mają odrzwia z wyrobionym już ładnie rozczłonkowanym ceglanym profilem. Wewnątrz presbyteryum służki połośmioboczne i tęcza, ułożona z cegieł czarno polewanych naprzemian ze zwykłemi. Nawę odbudowano w roku 1351 po pożarze, przy użyciu dawnych słupów ośmiobocznych ze żłobkowanemi krawędziami. Na zewnątrz bocznych naw, pomiędzy słupami przypornymi, umieszczono prostokątne w szerokość wyciągnięte kaplice, z gwiazdkowem sklepieniem, podobnie jak w nawach. Kościół nakryty trzema równoległymi, dwuspadnymi dachami z osobnemi szczytnicami; szczytnice od strony wschodniej to jest nad wielkim ołtarzem, pochodzą z czasów późniejszej przebudowy. Kaplice umieszczone pomiędzy przyporami wewnątrz kościoła spotykamy też w kościele Maryackim w Gdańsku, ale tam nie są one wyciągnięte w szerokość tak, jak tutaj. Wieżę po zawaleniu się w roku 1406 odbudowano na wzmocnionej podstawie, wchodzącej tak w głąb kościoła, jak i występującej na zewnątrz. U spodu wieży znajduje się główne wejście w głębokim wnętrzu, ciągnącym się aż do szczytu wieży. Dach jest niski tymczasowy. Wnętrze kościoła zdobiły freski, ukryte obecnie pod powłoką tynku. Z pośród ośmnastu ołtarzy dosyć starych i zanadto ciężkich



Uroczystość „Virtuti militari" w Warszawie: Zmiana warty na placu saskim.

wykonanych w baroku, odróżnia się tylko malowany tryptyk św. Wolfganga z około roku 1500, a w jednym z bocznych ołtarzy obraz św. Stanisława Kostki, przypisywany toruńskiemu malarzowi Bertholdowi Srobelowi. Dobre są posągi, rzeźbione w drzewie, Chrystusa zmartwychwstającego i św. Jana, z oznaczonym 1497 rokiem. Mojżesz wyrzeźbiony z kamienia o połowie postaci służy za podstawę kazalnicy z XVI wieku. Nagrobek burmistrza Jana z Soest i jego żony (†1363) rytowany w mosiądzu. Nagrobek Kopernika i kilka innych są dosyć słabe. W zakrystyi posągi Najśw. Panny i dwóch apostołów w przekwitłym gotyku. Wspaniały jest mosiężny pająk z posążkiem Najśw. Panny, pochodzący z roku 1580, gdy sam porządek wykazuje styl początku XV wieku.



Toruń: Kościół św. Jakóba.

Na Nowem Mieście zbudowano w roku 1309 kościół św. Jakóba. Rozkład wzorowany na kościele św. Jana, lecz oś presbyterium jest wskośna do osi nawy, co jak wiadomo, wyobraża przechylenie głowy Chrystusa przy śmierci na Krzyżu, a co nadto przyczynia się bardzo do urozmaicenia i ożywienia widoku wnętrza, bo znosi zimną umiarowość. W kościele św. Jakóba spostrzegamy znacznie większy pęd w górę niż w poprzednim św. Jana. Nawa główna jest znacznie wyższa od bocznych. Osobliwością są tu łuki przyporne ponad dachami naw bocznych, których jednak nie widać z powodu zakrycia dachami rozszerzonych naw. Widać tu wielką śmiałość budowniczego, który ceglane łuki przyporne, w górnej ich części, to jest w miejscu zetknięcia ze ścianą zewnętrzną nawy głównej nakrył u góry ciężkiemi sterczynami, nie dając wcale podpór pod łuki obok ścian. Wewnątrz kościoła słupy bardzo delikatnie rozczłonkowane z niewielką wypustką u góry zamiast głowia. Łuki międzynawowe są wąskie, a szeroko rozpięte, ponad łukami również szerokie wnęki, połączone ze sobą chodnikami w grubość muru. Wewnątrz wnęków osadzone niewielkie okna, gdy przeciwnie w presbyteryum są wysokie, gęsto ustawione okna, po pięć po każdej stronie, w absydzie zaś są trzy, tak, że światło bije na kościół od presbyteryum. W oknach cienkie żebra i przeźrocza gipsowe. Zachowało się pierwotne gipsowe sklepienie. Zewnątrz kościół wygląda bardzo barwnie, gdyż wszystkie krawędzie ozdobione cegłą, polewaną zieloną i żółtą na przemian ze zwyczajną, a do tego wnęki ozdobne są bielone. Znać w całości budowli wpływy Brandenburgii, ale przeprowadzone samodzielnie, tak n. p. wschodnia szczytnica nie tworzy całości, oddzielonej od dolnej części ściany, ale jest jakby dalszym ciągiem tej ściany; szczytnica zakończona jest wysokimi ostrosłupami.

Wewnątrz wieży ponad głównem wejściem znajduje się izdebka chórowa z jednem gwiazdzistem sklepieniem, z malowidłami, które jednak zakryte są organami. U szczytu wieży na czterech rogach odstające wieżyczki, które niegdyś miały u góry ząbkowania strzelnicowe; dach wieży ostrosłukowy zamieniono później na nizki bliźniaczy. Ośmioboczna wieżyczka schodowa po prawej stronie presbyteryum zakończona kończysto, jak właściwie zakończone bywają wieże gotyckie.

Wewnątrz kościoła znajduje się bardzo wiele ołtarzy barokowych, także i obok słupów międzynarodowych, które jednak niczem się nie odznaczają od innych tego rodzaju barokowych ołtarzy. Bardzo udatna jest oprawa organów z oznaczonym 1601 rokiem.

Zbudowany w połowie XIV wieku kościół Maryacki, niegdyś Franciszkański, ma trzy jednakiej wysokości nawy o sześciu przęsłach, z długiem presbyteryum, mającym jedną oś z nawą. Presbyteryum zamknięte ścianą prostą. Nawa północna czyli lewa, jest węższa od prawej i ma górną galeryę. Wysokość kościoła 27 metrów jest znaczna w odniesieniu do szerokości, która wynosi tylko 25 metrów. Przeźrocza okienne, wykonane z cegły pną się w górę, dla uniknięcia wiązania poziomego cegieł, co zawsze naraża na zawalenie się. Strona zewnętrzna skromna, bez wieży, ozdobiona u góry jedynie szerokim fryzem szerszym, to znów węższym z rozetek wgłębionych w cegle. Ciekawa jest widoczna szczytnica z trzema ośmiobocznemi wieżyczkami, połączonemi trójkątnemi szczytniczkami. Podobne szczytnice spotykamy na kościołach gdańskich.

Wnętrze kościoła bogato urządzone. W presbyteryum stalle z początku XV wieku, gotyckie z wysokimi zapleckami ze splotami i zwojami najstarsze i najwspanialsze na całem Pomorzu. Okazała kazalnica barokowa pochodzi z roku 1616; oprawa organów jest nieco od niej późniejsza. Nagrobek Anny Szweckiej pochodzący z początku XVII wieku przedstawia leżącą jej postać. Z wśród wielu zwyczajnych nagrobków wybija się nagrobek Mateusza Neissera z roku 1581. W nawie południowej zachowały się freski z pierwszej połowy XV wieku.

W Toruniu wznosił się niegdyś jeszcze kościół Dominikanów o dwóch nawach.

Kaplica ewangelicka na Starym Targu zbudowana w XVII wieku.

Ks. dr. Tadeusz Kruszyński.
wiceprezes Tow. kresów pomorskich.

Sp. Zdzisław Kamiński (Kazet).

Dnia 29 b. m. zmarł po krótkiej chorobie Zdzisław Kamiński, inżynier górniczy w Krakowie. Urodził się w 1861. Szkoły średnie kończył w Galicyi, akademię górniczą w Leoben. Jako inżynier górniczy pracował w Wieliczce, Bochni, Delatynie i Łanczynie. Ostatnio jako starszy radca górniczy w dyrekcyi salinarnej w Krakowie.

Jako literat, piszący pod pseudonimem „Kazet", próbował pióra w dawnym „Szczutku", zjednując sobie wielkie uznanie doskonałą satyrą i humorem, który był rzeczywiście perłą humoru polskiego.



Toruń: Kościół Panny Maryi.

Napisał także cały cykl nowel górniczych głębokich i poważnych, tłumaczonych na obce języki. Nowela jego „W podziemiach" uzyskała nagrodę na konkursie. 1903 roku napisał dramat „W mroku" na spółkę z H. Zbierzchowskim; dramat ten otrzymał nagrodę na konkursie Wydziału krajowego tego samego roku.

W Wiedniu będąc na ewakuacyi, napisał dwuaktową sztukę wierszem p. t. „Najazd", osnutą na tle walk Legionów polskich. Sztuka ta graną była w Wiedniu w teatrze polskim i zdobyła wielkie uznanie. W zeszłym roku „Najazd" grany był w Warszawie.

W ostatnich latach ś. p. Kamiński był członkiem różnych redakcyi i zasilał doskonałemi satyrami. Był on także członkiem Syndykatu dziennikarzy krakowskich.

Osierocił żonę, syna Stanisława, inżyniera górniczego i redaktora czasopisma górniczo-hutniczego, córkę zamężną za lekarzem i wnuki.

Zawsze pogodny, pełen dowcipu, dzielny pracownik górniczy i doskonały literat, pozostawił po sobie serdeczny żal u najbliższych, kolegów i znajomych. Cześć Jego pamięci!

Pogrzeb odbył się dnia 31 stycznia b. r. przy



Z obsadzonej Kolonii: Francuski generał Mangin podczas wizytacyi angielskiego garnizonu w Kolonii.



Z obsadzonej Kolonii: Statek niemiecki na Renie.



Z obsadzonej Kolonii: Parada angielskich tanków w Kolonii.

licznym udziale dziennikarzy, reprezentacyi górników z Wieliczki i Bochni oraz publiczności.

Na czele orszaku pogrzebowego kroczyła muzyka salinarna z Wieliczki, grając marsze żałobne; delegacye górników niosły wieńce od górników z Wieliczki i Bochni. Za najbliższą rodziną szli przedstawiciele dyrekcyi żup solnych w Krakowie, zarządu salin wielickich i bocheńskich, liczni przedstawiciele krakowskiego świata literackiego, dyrektorowie teatrów krakowskich, zastęp inteligencyi. Syndykat dziennikarzy krakowskich reprezentowali prezes Roman Woyczyński i sekretarz Wincenty Korolewicz.

Gdy orszak żałobny przybył na cmentarz, imieniem zarządu kopalń wielickich pożegnał Zmarłego inż. Dawidowski. Serdecznie przemówił górnik z Wieliczki, Klemens Tatara. Imieniem Syndykatu dziennikarzy krakowskich i red. *Kuryera ilustr.* przemówił prof. M. Szyjkowski, podnosząc zasługi ś. p. Kamińskiego na niwie literackiej i jego działalność pisarską, tak ściśle związaną z działalnością górniczą.

Po odegraniu melodyi żałobnych przez orkiestrę salinarną i ostatnich modłów duchowieństwa, oddano zwłoki dzielnego i szlachetnego pracownika ziemi ojczystej, a gdy wzniosła się mogiła, pokryło ją mnóstwo wieńców od rodziny, od Polsk. Tow. górn., redakcyj pism i przyjaciół.

W obsadzonej Kolonii.

Powoli zaczynają nasze ziemie wracać do macierzy. Także i na zachodzie prowadzona akcya w tym kierunku postępuje szybkim krokiem. Pierwszym punktem na tej drodze było obsadzenie Renu i miast portowych nad tą rzeką. Do nich należy przedewszystkiem Kolonia. Miasto stojące na ważnym punkcie węzłowym, było miejscem licznych wycieczek z całej Europy dzięki wspaniałej katedrze, będącej cudem sztuki architektonicznej. Obecnie miasto czasowo obsadzili Anglicy. Ruch w Kolonii poczyna powoli wracać do pierwotnych rozmiarów wielkiego miasta. Nawał wojenny opada, wskutek czego i życie wchodzi w normalne rozmiary. Dzięki żelaznej energii Anglików administracya miasta idzie sprężystym krokiem; wszędzie panuje ład i wzorowy porządek.

Anglicy zorganizowali sprężystą administracyę, nie pozwalającą na żadne ekscesy ze strony Niemców, którzy niechętnym wzrokiem, a raczej wzrokiem nienawiści patrzą na okupantów. Oczywiście, że nie szczędzą Anglikom trudności, które pojawiają się na każdym kroku, doprowadzają często do niemiłych scysyi i nieporozumień. Nieporozumienia te prasa niemiecka wyzyskuje najopaczniej komentując fakta w świetle wprost przeciwnem. Reagowanie tu niewiele pomaga, bo Niemcy zawsze znachodzą jakiś punkt wyjścia i usprawiedliwienia. Niemniej są to wypadki na porządku dziennym, a mnożą się one co chwila. W tym celu też obserwuje się postępowanie Anglików ze szczególną skrupulatnością i zawsze przytacza z dodatkami, że to nie jedyny wypadek. Fakty te wskazują jasno, że sympatye Niemiec, jeżeli nie są poparte interesem, nigdy nie są trwałe.



Z obsadzonej Kolonii: Angielska flotyla na Renie w pełnej paradzie w porcie kolońskim.



Z obsadzonej Kolonii: Szkocka kapela angielskiego garnizonu w Kolonii maszeruje przez most na Renie



Ś. p. Zdzisław Kamiński (Kazet).

Marya Toczyska Segeny.

BEZ STERU

Powieść.

27

Nigdy! To słowo straszne, porywające umysł w zawrotny, bezkresny bieg nicości i próżni jak powiew śmierci mroził duszę Janki, wzbudzając dziecinny przestrach przed jutrem.

Pierwszy turkot wozów ciężarowych, dudniących głucho po bruku ulic przywołał ją do rzeczywistości.

Budziło się miasto na nowy trud, na nową pracę, radość i cierpienie. Rzeźki, powstający ranek o przepychu purpurowych promieni wschodzącego słońca — miał w te dusze ociężałe snem kilkugodzinnym wlać nowe, ożywcze prądy, zdolne podtrzymać je na szereg godzin znojnych i wyczerpujących.

Janka z trudem oderwała się od okna i w ubraniu, bez myśli już i czucia rzuciła się na łóżko, zasypiając nagłym, ciężkim snem ludzi bardzo zmęczonych i bezsilnych.

VII.

Słońce już dosyć wysoko wysunęło się z poza dachów kamienic, kiedy Janka zwlekła się z łóżka z ociężałą głową i zamyślonemi od niewyspania oczami. Lisiewicz nie powrócił jeszcze. Nieobecność męża przestała już Jankę żywo jak niegdyś niepokoić. Kilkakrotnie jeszcze w ostatnich czasach próbowała zbliżyć się do niego, nawiązać choćby pod przymusem stosunek jakiś serdeczniejszy pomiędzy nimi, nakłonić go do poważniejszego wglądnięcia w życie i konieczność pracy, ale Ludwik zbywał jej słowa ironią lub brutalną odpowiedzią, więc zaprzestała wszelkich uwag, zasklepiając się sama w milczeniu i ponownej obojętności.

Wiedziała od Łatki, że przebywa w coraz gorszem i źle wpływającem towarzystwie i dosyć często, kiedy się zasiedział gdzieś w kawiarni zadługo, szedł na resztę nocy do którego z przygodnych swoich przyjaciół. — I dzisiaj również tak się stać musiało.

Janka więc orzeźwiła się zimną wodą, zagotowała śniadanie na maszynce i usiadła do zwykłej roboty, starając się już nie myśleć o niczem.

Dzisiejsza noc, strawiona na szarpiących rozmyślaniach w wywoływaniu wspomnień przeszłości pozostawiła jej pod czaszką jakąś dziwną pustkę i chłód, który obejmował całe jej ciało. Już od dłuższej chwili zręcznymi, machinalnymi ruchami wykończała skomplikowane obszycie jakiejś bluzki, kiedy drzwi od pracowni otworzyły się nagle i weszła strojna, zawsze pewna siebie panna Niuta, rozglądając się ciekawie wokoło. Widocznie szybko uczyniona przez nią kontrola sprzętów i mieszkania nie zadowolniła ją, bo skrzywiła się niechętnie i pogardliwem spojrzeniem mierząc Jankę, wycedziła wolno:

— Czy tu mieszka krawcowa?

— Tutaj — odparła Janka, pochylając lekko głowę.

Poznała Niutę i w pierwszej chwili ogarnęło ją nieprzyjemne pomieszanie, ale zaraz otrząsnęła się z tego wrażenia i zapytała już spokojnym, zimnym głosem:

— Czego sobie pani życzy?

— Przyniosłam parę bluzek do uszycia — rzekła panna Niuta, rozkładając na stole przyniesione materye, ale nie wiem, czy mnie pani zadowolni, bo to chciałam coś niebanalnego i nieobnoszonego przez wszystkie pokojówki z kamienicy. Ale zdaje mi się, że ja znam panią — dodała, przyglądając się Jance uważnie. Tak, tak, gdzieś już musiałam panią widzieć... Czy pani dawno jest krawcową?

— Oh tak! dawno już — odparła swobodnie Janka, wytrzymując jej spojrzenie. Ale pani się myli co do mnie. Napewno się pani myli. Ja sobie pani wcale nie przypominam. Tyle jest twarzy podobnych do siebie.

— Może być. Ale jednak ja już panią gdzieś spotkałam — w przelocie zapewne. Rysy pani dosyć oryginalne i dlatego zapamiętałam je sobie, tylko pani jest przerażająco blada i to szkodzi pani urodzie — paplała Niuta, siadając przy stole, A szkoda! bo mogłaby pani bardzo się podobać.

— Pani zechce sobie wybrać modele — przerwała Janka, podsuwając jej żurnale. Mam właśnie najświeższe.

Niuta zagłębiła się cała w rysunkach ze skupieniem i natężoną uwagą, jakgdyby chodziło o rzecz bardzo poważną i doniosłą.

— Mówiono mi, że pani ma dużo gustu — zaczęła po chwili i dlatego przyszłam, bo przyznam się pani, że dotąd ubierałam się tylko u pierwszorzędnych firm.

— Jeżeli jednak pani niema do mnie zaufania — odrzekła Janka, uśmiechając się mimowoli.



— możeby pani wstąpiła do teatru?

Eh! to znowu nie! W pierwszej chwili może — zaśmiała się Niuta szczerze, jak zobaczyłam tę pracownię pani. Tylko się pani musi bardzo wysilić, aby zrobić coś ładnego, coś takiego, czem bym się pochwalić przed innemi mogła. Bo to ja jestem z teatru, wie pani — dodała z dumnem podniesieniem głowy, patrząc na Jankę. Pani o tem nie wie?

— Nie, proszę pani — odpowiedziała Janka, ubawiona jej zachowaniem.

— No tak, zapewnie — protekcyonalnie wycedziła Niuta. Pani przecież do teatru chodzić nie może. Ale jak też tak można dniami całymi wytrzymać przy tej klekocącej maszynie. Ja bym się wściekła! Jak babcię kocham szkoda pani, bo naprawdę pani jest wcale ładna! Żeby tak na scenę i trochę więcej szyku, to karyera gotowa. Tam tylko młodość i uroda popłaca. Pani się nie uśmiecha takie życie?

— Nie, proszę pani. Przyzwyczaiłam się już. Ale czy pani już co wybrała? Sądzę, że ten model byłby odpowiedni.

— Zaraz, zaraz. Ale wie pani co, nie mam cierpliwości wybierać — zawołała Niuta, odsuwając nagle od siebie tygodniki. Niech już pani zrobi według swojego gustu — dobrze?

— Dobrze, ale czemże pani sobie życzy przybrać? Oh! ten jedwab różowy naprzykład? Może koronką?

— Tak, tak, koronką! Dużo koronki, szerokiej, ładnej — ucieszyła się Niuta. Tylko z szykiem moja kochana pani, tylko z szykiem.

— Postaram się zrobić jaknajlepiej — oświadczyła grzecznie Janka.

— Ale wracając do tego teatru — mówiła dalej Niuta, ożywiając się — zdaje mi się, że pani nie miałaby temperamentu. Bo najładniejsza kobieta bez temperamentu, to jak malarz bez oka wie pani. Ja za to miałam go za trzy. Uczyłam się także na krawcowę, ale po trzech tygodniach chodzenia do pracowni, już miałam tego dosyć, dosyć! Rzuciłam wszystko do dyabła i palnełam się do teatru. Tam przynajmniej mój temperament ocenili.

Z głośnym uśmiechem zerwała się ze stołka, szumiąc jedwabną halką i przeglądając się w lusterku, wiszącem naprzeciw niej na ścianie.

— No do widzenia pani — rzuciła wesoło — pojutrze przyjdę do miary. Spodziewam się, że mi pani zrobi niespodziankę z temi bluzkami.

Skierowała się szybko do drzwi, ale przy samym progu natchnęła się na wchodzącego Lisiewicza. — Był zły i niewyspany. W szarej, jak przypopielonej twarzy świeciły niezdrowym blaskiem oczy, pod opuchniętemi, zaczerwienionemi powiekami.

— Ah! psiakrew! — zaklął, zatrzaskując mocno drzwi za sobą. — Czegóż ta znowu tu chce.

Niuta stanęła w pierwszej chwili zdumiona spotkaniem, ale zaraz odzyskała swoją czelność właściwą.

— Co widzę! — krzyknęła, chwytając Lisiewicza za rękę. Pan Ludwik! No, nareszcie udało mi się pana spotkać.

— A co pani tu robi? — odburknął Lisiewicz, odsuwając się niechętnie.

— Grzeczne przywitanie niema co? — zaperzyła się Niuta. Ale po panu to wszystkiego się można spodziewać! Ananas!

— No, no, tylko spokojnie — upomniał ją surowo Lisiewicz, siadając i zapalając papierosa. Nie lubię awantur w swym domu.

Niuta wściekła zwróciła się do Janki, zajętej szyciem i nie zdającej się zwracać uwagi na tę scenę.

— To pani zna tego pana — zawołała oburzona. A to winszuję znajomości. Niechże mu pani nie wierzy ani słowa! To oszust pierwszej klasy, a ten stary idyota, ten jego teść, to jeszcze lepszy numer. Oni we dwóch toby dyabła samego w pole wyprowadzili.

Ciemny rumieniec wystąpił na twarz Janki, ale nie odrzekła słowa, tylko pochyliła się nizko nad robotą, wstrząśnięta do głębi uczuciem wielkiego upokorzenia i wstydu.

Tymczasem Niuta już zupełnie wyprowadzona z równowagi przyskoczyła do Lisiewicza i potrząsając go za ramię, wołała coraz bardziej rozwścieczona.

— A kostyumy moje gdzie są? Te dwa obiecane kostyumy. Może już pan zapomniał o nich?

Janka mimowoli uniosła głowę z nad roboty.

— Jakie kostyumy? — zapytała zdziwiona.

— Oni obiecali mi dwa kostyumy! On, i ten stary głupiec!

— Przestałabyś pleść głupstwa — odezwał się Lisiewicz wcale niezmieszany tą napaścią. A przedewszystkiem nie krzycz i wynoś się stąd, bo już cierpliwość zaczynam tracić.

— A więc to tak — dusiła się ze złości Niuta, szeroko rozkładając rękami. Ale wtedy to umieliście inaczej mówić do mnie. Jeden i drugi skakał koło mnie, jak psiuk na dwóch łapach. Gdzie moje kostyumy, słyszysz ty oszuście!

— Co to wszystko ma znaczyć — zwróciła się z niesmakiem Janka do męża. Może zechcesz mi wytłumaczyć.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ratyfikacya traktatu pokojowego.

Jedynastego stycznia „Journal Officiel“ ogłosił, że traktat pokojowy zawarty w Wersalu, został ratyfikowany przez państwa sprzymierzone i za



Ratyfikacya traktatu pokojowego: Polski egzemplarz traktatu.

przyjaźnione. Ratyfikacya odbyła się w salonie zegarowym w pałacu przy Kai d'Orsay, gdzie zgromadzili się reprezentanci wszystkich państw i plenipotenci Niemiec. Wreszcie nadeszła chwila co do której zwątpiono już, że wogóle kiedykolwiek spełni się. Ceremoniał dzielił się na dwie części. Był bardzo prosty i pozbawiony wszelkiej wystawy, czego sobie życzyła znaczna część interesowanych państw. Liczba uczestników była mniejszą, aniżeli wtedy, kiedy traktat podpisywano. Delegaci wszystkich państw reprezentowali swoje rządy, konsekwentnie co do swoich postanowień nieratyfikowania brak było Ameryki.

Pierwsza część ceremoniału odbyła się w ściśłem kółku w gabinecie St. Pichona, ministra spraw zewnętrznych: szło tu o podpisanie dodatkowego protokołu z listopada, na podstawie którego Niemcy muszą dać pewną rekompensatę w wojennym materyale. O godzinie 4 po południu został wprowadzony do gabinetu przez Williama Martin Lloyd George i zajął miejsce obok Clemenceau. W gabinecie był już Pichon, Tardieu, Klotz, Cambon i plenipotenci Niemiec Lersner i Simson. Reprezentanci czterech państw powitali ich. Cały ceremoniał trwał około trzy minuty. Clemenceau wręczył plenipotentom list, w którym oznaczono, znacznie uproszczone warunki rekompensaty za zniszczony materyał okrętowy podczas zatopienia floty w Scape-Flow.

Równocześnie salon zegarowy począł się szybko zapełniać. Delegaci małych państw zajęli swoje miejsca. Po chwili wszedł Clemenceau po skończonej już krótkiej scenie w gabinecie ministeryalnym. Prezydent usiadł już w swoim fotelu, obok Lloyda George'a. Lersner i Simson powolnym i pokornym krokiem zbliżyli się ku swoim miejscom. Następnie na zaproszenie Williama Martin przystąpili do stołu. Simson krótki i krępy pierwszy, Lersner chudy wysoki i blady, drugi. Następnie akt ratyfikacyjny podpisał Lloyd George, po nim Clemenceau.

Następnie Clemenceau zwrócił się do plenipotentów niemieckich. Była to wielka chwila zaciekawienia: czy prezydent ma zamiar plenipotentom podać rękę, uważając, że po wymianie papierów ratyfikacyjnych wszelkie urazy powinny już zniknąć? Nie: Clemenceau w innym zamiarze zwrócił się do dwóch Niemców, którzy podczas rozmowy powstali ze swoich miejsc. Oto oznajmił im, że w jak najkrótszym czasie nastąpi wymiana jeńców i dołoży wszelkich starań, aby choćby najmniejszego opóźnienia uniknąć. Wymiana rozpocznie się jeszcze dziś wieczorem. To było wszystko. Mówiono jednak i to jest prawdą, że już w gabinecie Pichona przed podpisaniem protokołu podał Niemcom rękę. W ten sposób posiedzenie skończyło się. Następnie do stołu zbliżył się Nitti, Matsui, Hymans, Arteaga, Fernandez, Pachece, Calderon, Patek, ks. Charoon i inni kładli swoje podpisy na aktach


von der gesetzgebenden Körperschaften des Deutschen Reichs genehmigt und mir vorgelegt worden sind, erkläre ich, daß ich den Vertrag, das Protokoll und die Vereinbarung bestätige, und verspreche, sie erfüllen und ausführen zu lassen.

Berlin, den 9. Juli 1919.

Der deutsche Reichspräsident

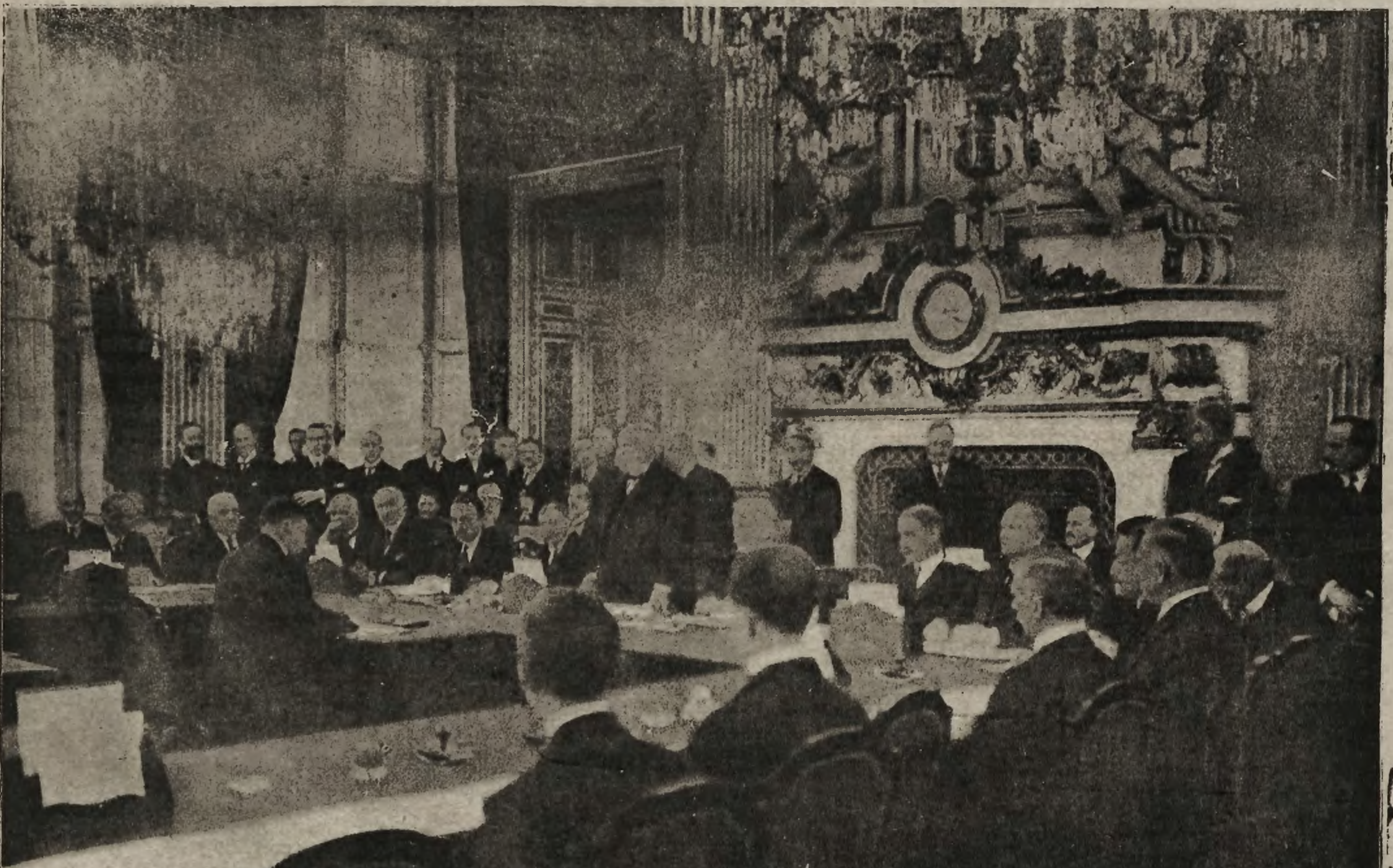
Bestätigungsurkunde

Ratyfikacya traktatu pokojowego: Podpis na traktacie prezydenta Eberta i Bauera.

ratyfikacyjnych. Cała uroczystość skończyła się o godzinie 4 minut 16 po południu.

Skoro dano znak, że podpisy już położono powstał prezydent ze słowami:

„Protokół ratyfikacyjny traktatu zawartego między państwami ententy i Niemcami został podpisany. Od tej chwili traktat Wersalski wchodzi w życie i musi być wedle wszelkich klauzul wykonany. Posiedzenie skończone“.



Ratyfikacya traktatu pokojowego: W sali zegarowej po podpisaniu aktów ratyfikacyjnych, Clemenceau powstawszy oznajmia, że w tej chwili traktat pokojowy wchodzi w życie jest godzina 4 minut 16 po południu 10 stycznia.

Kronika tygodniowa.

Będąc członkiem Ligi pokojowej, nie lubię z nikim prowadzić polemiki, nawet z własną żoną. Niestety, może się zdarzyć i najbardziej zrównoważonemu osobnikowi, bez względu na płeć, że się musi sprzeniewierzyć swym „najświętszym zasadom“.

W tem położeniu znalazłem się i ja, przeczytawszy w ubiegłym tygodniu dwa artykuliki w *Kuryerze*, jeden zatytułowany „Nasz karnawał“, drugi, w kilka dni później „Przywileje kobiet“, oba sygnowane tym samym podpisem „Haef“, pochodzące więc z jednego i tego samego kałamarza.

Poruszane w nich kwestye są na oko małej wagi, powinnoby się więc przejść nad niemi do porządku dziennego, dotykają jednak sprawy, które poruszyłem w poprzedniej kronice, twierdząc, że Kraków się bawi, i to daleko nawet lepiej, niż za dawnych czasów, kiedy nie wiedzieliśmy co to karta chlebowa, ogonki i inne tym podobne przyjemności wojenne. Pozatem Autor (a może i autorka, choć mówiąc o sobie używa stale wyrażeń byłem, szedłem, słyszałem, widziałem) w drugim artykule zbija to, co napisał w pierwszym.

Żem miałem racyę twierdząc, iż Kraków się bawi i że tańczą wszyscy z wyjątkiem tych, co tańczyć nie umieją lub nie mogą, ma to dowód w *Kuryerze*, który na jeden tylko dzień 24 stycznia (sobota) zapowiedział aż sześć publicznych zabaw, nie licząc prywatnych (tak zwane „tańczące pączki“, zwłaszcza tam, gdzie są panny na wydaniu).

Innego zdania jest Autor w artykule pierwszym. Zaczyna od oburzenia pana radcy, mającego być wyrazem opinii zacofańców, który, widząc na szybach okna sylwetki tańczących, nie może tego pojąć, jak ludzie w tych czasach mogą się bawić i dochodzi do konkluzyi:

„Błądząc samotnie po ulicach, rozmyślałem o naszym narodzie karawaniarzy, w którym ten pierwszy w wolnej Polsce karnawał nie wyzwolił z tępej martwoty ani jednego gestu radosnej beztroski, ani jednego odruchu przebudzonej świadomości rozkoszy chwili. Ledwie tylko płochy, lekkomyślny *Prince Carneval* rzucił światu w tym roku pierwszą garść barwnych *confetti*, uśmiechów i kwiatów, na szpaltach naszych pism zjawiły się pytania: Tańczyć, czy nie tańczyć? Karnawał, czy żałoba? Radość wolnych ludzi, czy tępa melancholia straceńców? I niby to oficyalnie nie tańczymy, tańcząc zato nieoficyalnie w prywatnych domach i nie zawsze się do tego przyznając.

Symbolem naszego *per excellence* karawaniarstwa była tegoroczna noc Sylwestrowa. Ziewał Kraków, ziewała Warszawa mimo głębokich dekoltaty pięknych kobiet, mimo kanonady korków od wina szampańskiego, mimo szopek, kabaretów, *revues i revuette'k* i całej efektownej dekoracyjności tej nocy, gdzieindziej tak pełnej śmiechu, pustoty i szaleństwa. Zachowaliśmy w ową noc „powagę i spokój manekinów“ — jak słusznie określa nasz *façon d'etre* autor „Nocy Sylwestrowej“ w „Rewii“. Pierwszy Sylwester w wolnej Polsce nie miał roześmianego oblicza, czarującego w swej słonecznej radości i dziecięcej pustocie „księcia karnawału“. Nasz polski *Princ Carneval* przyszedł z miną właściciela źle prosperującego przedsiębiorstwa pogrzebowego, albo kandydata na samobójcę. Miał na rękach czarne rękawiczki *glacé*, a w butonierce nie goździk różowy, jak kobiece usta, ale — trupią główkę.

Dlaczego? Dlaczego nie umiemy śmiać się i bawić z dziecięcą pustotą narodów zdrowych i silnych, my, którzy oficyalnie odzyskaliśmy już Ojczyznę, zrzuciliśmy pęta niewoli i nie umiemy mimo wszystko skąpać znużonych naszych serc w kryształowej fali radości?“

I tak dalej i dalej w ten deseń zachęca Autor do wesołości, każe się nauczyć śmiać się i bawić, tak jak gdyby człowiekowi nie było nic więcej do szczęścia potrzebnem i jak gdyby społeczeństwo nasze było w tem miłem położeniu. że pędząc życie bez trosk i kłopotów i mając na to odpowiednie fundusze, może się oddać wesołości całą duszą.

Nie ulega kwestyi, że są tacy między nami, a jest ich nawet spora liczba, którzy mogą sobie na to pozwolić, by pić z owej ponętnej czary rozkoszy, nie tylko przez tych kilka tygodni karnawału, ale jak rok długi, reszta przecież, a do niej należy i ów radca, nie może sobie na coś podobnego pozwolić wyraża z tego powodu zadziwienie, a czasem nawet i oburzenie, nic sobie z tego nie robiąc, że za to ściąga na siebie miano zacofańca lub karawaniarza.

Bo i proszę mi powiedzieć, z czego się mamy tak nadzwyczajnie cieszyć, aby aż skakać z radości? W wolnej Polsce obchodzimy już drugi karnawał, ale na jotę nic się nie poprawiło, owszem, jest nawet daleko gorzej, niż było rok temu o tym czasie.

Jesteśmy, co prawda, panami na swych własnych śmieciach, ale też tylko na nich i to w najściślejszem tego słowa znaczeniu, a cała nadzieja poprawy stosunków na razie jeszcze... na papierze lub w obietnicach. A papier, jak wiadomo, jest bardzo cierpliwy, obietnice zaś bardzo łatwe.

A może ta radość ma być tylko mamieniem innych, aby sądzili, że nam się dobrze dzieje, w myśl zasady „Zastaw się, a postaw się!...“, lub też ma nam przynieść chwilę zapomnienia tego, co każdemu dolega?... Ale taka radość, tak w jednym jak i w drugim wypadku jest sztuczna, nie jest więc radością i do celu nie prowadzi. I zapomnienia nie przyniesie i może na nas ściągnąć podejrzenie, że coś się tam „w górnych sferach“ popsuło, boć to takiego, który się cieszy bez powodu, lubią czasem wysyłać na świeże powietrze do Kobierzyna.

Autor artykułu, występujący dotąd jako apostoł radości i śmiechu, w trzy dni później zmienił przecież swe zapatrywania.

W artykule p. t. „Przywileje kobiet“ pisze:

„Mężczyzna znający formy towarzyskie odważa się tylko wówczas iść na bal, gdy ma frak. Ile kosztuje dziś frakowy garnitur, lakierki, wykwintna koszula z batystowym gorsem, goździk wpięty w butonierkę i para rękawiczek *glacé* — wie tylko kelner, pomocnik fryzyerski, dobrze zbudowany dżentelmen roznoszący węgle, czy inni panowie z dzisiejszej *feunesse dorée*. Dla dziennikarza frak, a więc i słodki zamęt nocy balowej z jego kuszącą ponętą rozchylonych w tańcu ust kobiecych i dyszących biustów jest rajem, z którego wypędził go ognistym mieczem drożyzny anioł wojny“.

Za przykład służy tu dziennikarz, członek czynny „gołej demokracyi“ czyli wojenny proletaryusz, a takich, jak on, jest cały legion, należy do nich niewątpliwie i ów radca, a ci, jak sam autor przyznaje, bawić się, choćby chcieli, nie mogą. Ów anioł wojny zbyt często staje im na drodze, a jego arsenał jest bardzo obficie zaopatrzony w różnego rodzaju miecze.

Konkluzya z tego, że jesteśmy karawaniarzami z musu, bo się bawić nie możemy.

Takiego przeciwnika, jak „Haef“, lubię!... Chciałem go wyzwać na udeptaną ziemię, tymczasem on pokonał sam siebie, choć ową kwestyę „frakową“ poruszył nie w tej intencyi, jak z tego kronikarz dla swych celów skorzystał.

Pan „Haef“ zaznacza, że zazdrości kobietom, które mogą się ubierać bardzo tanim kosztem, nie nadwerężając zbyt portfeli mężów lub... przyjaciół, co jednak wygląda raczej na wytłumaczenie tych niewiast, które, nie zważając na ciężkie czasy, wydają pieniądze na stroje. Powiada, że stara firanka, przepasana szarfą z letniego kapelusza, stanowi bajeczny kostyum, na widok którego przyjaciółki zielenieją z zazdrości, a każda chciałaby mieć taki, a nie inny.

Jestem tego zdania, że nic w naturze nie powinno marnie ginąć, zwłaszcza w tych ciężkich czasach, że zatem i stara firanka może się przydać na coś, ale pozwolę sobie wyrazić powątpiewanie, czy taki, nazwijmy go, wojenny kostyum balowy będzie mało kosztował. Tak należałoby sądzić, ale tak nie jest, zwłaszcza że stare firanki są obecnie bardzo poszukiwane.

Także fałszywem jest zapatrywanie, jakoby nowoczesny kostyum, taki co to z dołu mało, a z góry prawie nic, powinien być tani, bo tu rzecz ma się zupełnie tak, jak z porcyami w restauracyi, im cena wyższa, tem porcya mniejsza, czyli tak zwany stosunek odwrotny.

Mężczyzna, zdaniem autora, jest pożałowania godny, gdyż nie może się wybrać na bal okryty, dajmy na to starą portyerą, lub w... szwimhozach, choć wyobrażam sobie, jaką zrobiłby furorę gdyby tak w samej rzeczy w tym drugim kostyumie pojawił się na sali. A nie byłoby to nawet połączone ze zbyt wielkimi kosztami, bo ta część garderoby tak prędko z mody nie wychodzi, a wielu ma ją z dawnych czasów.

Zatem z panem „Haef“ nie zgadzam się na tym punkcie, że balowa tualeta niewiele kosztuje, a swe twierdzenie opieram na fachowych informacyach mojej zacnej Weroniki, która, jako kobieta, jest w tym kierunku najzupełniej kompetentną.

Ostateczny zatem sens moralny z tego wszystkiego, że Kraków się bawi i to nie tylko prywatnie, że zabawa kosztuje wiele, a większość nie stać na podobne wydatki, co zaś najważniejsze, że nie ma ona powodu do okazywania zbytniej wesołości, że zatem byłoby pod każdym względem lepiej dla wszystkich, gdyby ten karnawał nie był tak huczny.

Najprawdopodobniej nazwie pan „Haef“ i kronikarza „karawaniarzem“ lub, co najmniej, zacofańcem. Niech tak będzie, skoro tak być musi.

Dzięki temu rozbawieniu, jakie ogarnęło prawie całe nasze społeczeństwo, zapominamy też o tem, o czem się przecież powinno było pamiętać.

A należy tu przedewszystkiem rocznica wybuchu ostatniego naszego powstania, przypadająca na styczeń. Gdyby nie wojskowość, bylibyśmy w niepodległej i zjednoczonej Polsce o niej zapomnieli, zwłaszcza że pamięć bohaterów, którzy w obronie Ojczyzny ponieśli w ofierze swe życie, trudno chyba uczcić... wieczorkiem tańczącym.

Za dawnych, austryackich czasów lepiej się cokolwiek o tem pamiętało. A istnieje podobno jakiś Komitet obchodów narodowych z łona Rady miasta. Nie daje jednak znaku życia. Niewiadomo, spi, czy może... tańczy. Prasa była dość powściągliwą, teatry wystawiły „Tylko sen“, „Barona cygańskiego“ i „Wesołą wdówkę...“

Gdyby nie wojskowość, bylibyśmy w karnawałowem rozbawieniu zapomnieli o tej rocznicy. Jest nadzieja, że się poprawimy w roku przyszłym, bo komitet już się budzi i podobno zaczyna radzić. A czasu ma dość, gdyż rok 1920 jest przestępny.

Ktoby tam zresztą zawracał sobie głowę takiemi drobnostkami, gdy każdy ma ją dziś nabitą relacyą marki do korony. Śmiało rzec można, że całe nasze społeczeństwo podzieliło na dwa obozy: koroniarzy i marczarzy, a tak jedni jak i drudzy zrobili na tem interes. Pan Grabski przyczynił się zatem do ożywienia ruchu finansowego w kraju „bankrutów materyalnych i moralnych“, jak nas raczył nazwać łaskawie pan Nikodem Hryćkiewicz (daj mu Panie Boże rozum, aby nie robił konkurencyi Filipowi z Konopi, bo on Nikodem, nie Filip!...). Należy się więc panu ministrowi wdzięczność, a nie wezwanie aby podał się do dymisyi.

I kronikarz puścił się na spekulacye. Gdy marka leciała na łeb, kupił jedną na próbę, a dziś, gdy relacya p. Grabskiego jest już ustawowo przeprowadzona, sprzedał ją po urzędowym kursie, zarabiając na tej transakcyi czterdzieści dwa i pół halerza w gotówce.

I teraz dopiero jest w kłopocie, nie wiedząc co z tą kwotą począć, wziąć się do handlu, czy też ulokować ją w papierach procentowych.

Zdaje się, że z oszczędności domowych doda do tego drugie tyle i kupi pudełko zapałek (dawniej dziesięć pudełek za sześć centów!...), zwłaszcza, że udało mu się nabyć z trudem paczusię tytoniu „jawańskiego“ za trzy korony. Chcąc zaś palić papierosy, trzeba mieć zapałki.

Tytoń ów, który stanowi pamiątkę po panu Paderewskim (jedni mówią, że on go zakupił, drudzy, że pochodzi z jego starej kanapy, gdy się wyprowadzał z Warszawy...), jest bardzo smaczny i wonny i do tego całkiem żółty, a więcej chyba za trzy korony żądać nie można. Zalatuje wprawdzie stęchlizną, ale są ludzie, którzy ten zapach bardzo lubią.

Nie narzekajmy zatem. Dawniej śniliśmy jeno o tytoniu, dziś mamy go „na jawie“ i do tego z wyspy Jawy, w co zresztą nikt nie wątpi, bo tak wydrukowano na paczce.

Do owej relacyi korony do marki powrócę ale w nieco późniejszym czasie, obecnie bowiem odbywam specyalne studya w tym kierunku i znajduję w sobie tyle finansowych zdolności, dotąd ukrytych, że, doprawdy, wielka szkoda, iż jeszcze nie kandydowałem na ministra skarbu.

Ale co się odwlecze, nie uciecze. Pan Skulski z swym gabinetem nie będzie chyba do końca świata zajmował foteli ministeryalnych i z czasem ustąpi miejsca innym.

A czuję w sobie siły na męża przyszłości!

Zresztą karnawał nie jest odpowiednią porą do tego rodzaju studyów i uwag. Jest to zupełnie nadający się temat do rozmyślań wielkopostnych i może zupełnie dobrze zastąpić „gorzkie żale“, a Popielec mamy już za pasem.

Na razie powiem tylko tyle, że co do owej zamiany koron na marki według urzędowej relacyi 70:100, można bardzo łatwo zastosować przysłowie: „Nie miała baba kłopotu, kupiła sobie... markę“. Starsze pokolenie (nie mówiąc już o najstarszem, które rachuje dotąd na „czeskie“ i „dudki“) nie przyzwyczaiło się jeszcze liczyć na korony, a tu wprowadzają nową walutę, a przerachowanie jednej na drugą sprawia takie trudności, że trzeba teraz nosić stale ze sobą tabliczkę, rysik i gąbkę, czyli, że odmłodzieliśmy dzięki zarządzeniu p. Grabskiego przynajmniej o tyle, iż przypominamy sobie dawne, lepsze czasy, gdy się uczęszczało do *infimy*.

I niejeden wzdycha też cicho do owych czasów i byłby bardzo rad, aby się one wróciły. Ale wzdycha po próżnicy, bo tak, jak było wtedy, nigdy już nie będzie!... I wtedy narzekano nieraz, że źle się dzieje, ale teraz dopiero, gdy się porówna dzisiejsze stosunki z ówczesnymi, widzi się, że się racyi wówczas nie miało.

Guy de Téramond.

Tajemniczy zbrodniarz.

(Tłum. Marya Toczyska).

16

W tej chwili ktoś przeszedł koło nich, więc zamilkli natychmiast. A kiedy sylwetka przechodnia zniknęła pod arkadami, dyalog rozpoczął się na nowo.

— Wielki Julek jest na sali?

— Pokaże się przy trzecim akcie.

— Wie gdzie?

— Mniejwięcej.

Mężczyzna, do którego te wszystkie pytania były zwrócone, wyciągnął z kieszeni mały srebrny zegarek i podchodząc do latarni gazowej, rzucającej niepewne blaski, spojrzał na niego uważnie.

— Już dziesiąta godzina! — zawołał — Do dyabła! jak ten czas zmyka. Mały będzie się złościł.

Tamten we futrze potrząsnął głową i szepnął jakby do siebie:

— Żeby mu się tylko udało! Stangret baronowej to zuch nielada. On się nie prędko da upić i to w wieczór, kiedy pojechać ma po nią. Trudno mu będzie wlać narkotyk do wina! Ale liczę na małego, zręczny jest jak sam szatan! Czy Zizi Mucha jest z nim?

— Tak, mój króleweczku.

— Ona zna swoją rolę!

— Także gadasz! Ona odciąga uwagę osoby, a jak tamten już paluszkiem ruszyć nie może, pomaga małemu Mecowi do przetrząsania jego łachów.

— A towarzyszka Żaba?

— Ona przygotowała wszystko w Menilmuche tak morowo, że nikt nam nie przeszkodzi.

Nie przerywając rozmowy obydwaj mężczyźni opuścili ciemne schronienie, w którem się dotąd ukrywali i skierowali się w stronę ulicy Valois ciągnącej się wzdłuż jednego boku Królewskiego Zamku.

— Wiesz co Antek - szepnął człowiek we futrze — dałbym piętnaście lat życia prezydenta z Haiti, aby być teraz starszym o kilka godzin. Lękam się, aby jaki nieprzewidziany wypadek nie zburzył nagle całego mojego planu w ostatniej chwili.

— Nie psuj sobie krwi nadarmo, markizie. — odparł jego towarzysz z zupełnym spokojem — Wszystko pójdzie dobrze. Brzany są z nami. Obiecałem nawet Fitinie łańcuszek tombakowy za dobrą robotę.

W tej chwili rozległ się na ulicy wolny turkot powozu, zbliżający się w ich stronę.

— To mały Mec! — zawołał tryumfalnie Antek.

Powóz jednak nie zatrzymał się przejeżdżając koło nich. Zwolnił tylko biegu i człowiek kierujący końmi wydał gwizdnięcie długie i przeciągłe, zrozumiane natychmiast, by Antek odpowiedział na nie tymsamym sposobem.

— Robota idzie. — mruknął przez zęby.

— Czy on dobrze wie, co ma robić? — zapytał jego towarzysz — Kiedy zawołają na stangrera Armanda z ulicy Bosquet, powinien podjechać bez zwłoki pod teatr, tak, jak tamten.

— Juści, że tak zrobi.

— A ty, czy z pewnością widziałeś baronową wyjeżdżającą od siebie po obiedzie, tak, jak każdego czwartku?

— Na własne ślepia.

— Doskonale! Nie opuściła na szczęście nasze przedstawienia. Bo też grają dziś „Cyrulika z Sewilli"... bardzo lubię tę sztukę.

— A ja, mój stary, wolę ładną sikorkę, wyśpiewującą w teatrzyku piosnki miłosne. Nic tak nie wstrząśnie wątrobą, jak takie piosnki.

— Nie będziesz nigdy wytwornym człowiekiem, mój biedny Antku!

— Pewnie markizie! Nie objadłem się, jak ty w wyższych towarzystwach.

— Phi!

— Nie bladuj tylko kwiatuszku arystokratyczny. Zdobyłeś sobie tam bycze szczęście z buzią twoją i wykwintną bielizną!

— Ano, pracowałem, jak mogłem, ale przecież jak widzisz, nie wiele z tego skorzystałem, skoro zdecydowałem się dziś wieczór na krok ostateczny. Jeżeli nie uda mi się dzisiaj pochwycić bryłantów baronowej, jestem zarżnięty. Klapa na całej linii... Eh! — westchnął ciężko — Nie pora zastanawiać się teraz nad goryczami świata. Twoja rola wkrótce się zacznie — jest najtrudniejsza, ale ty jesteś z nas najzręczniejszy. Idź teraz na swój posterunek... nie zapomniałeś... za małym Pałacem... a potem co koń wyskoczy do Menilmuche. Ja zaś odszukam wielkiego Julka pod portykiem teatru. On mi powie, czy baronowa tam jest i czy ma na sobie klejnoty... Do zobaczenia, stary.

— Do zobaczenia, markizie.

Rozłączyli się i każdy poszedł w swoją stronę.



„Do domu Armandzie!"

Szczególnym zbiegiem okoliczności nie tylko te dwa podejrzane indywidua zajmowały się tak gorąco tego wieczoru baronową Olgą,

W tym samym czasie dwóch innych mężczyzn w sali Teatru Francuskiego przyglądało się jej uporczywie i badawczo. Byli to ajenci Brisemiele i Touffe, którym poruczono śledzenie każdego kroku baronowej.

Siedząc na galeryi w pierwszych rzędach foteli, umieszczeni byli w ten sposób, że pozornie interesując się biegiem akcyi odgrywającej się na scenie widzieć mogli wszystko, co się dzieje w loży baronowej.

W pewnej chwili Brisemiele drgnął nerwowo.

Do loży baronowej wszedł attaché ambasady X. kapitan Fraskopelly.

Skłonił się z szacunkiem przed nią i ucałował jej rękę, którą mu podała z czarującym uśmiechem.

I ajent ujrzał dokładnie, jak wojskowy attaché wsuwał dyskretnie bilecik do ręki baronowej, który natychmiast zręcznym ruchem, zakrywając się wachlarzem, ukryła w koronkach stanika wyciętej sukni.

— Cóż to za bilecik? — pomyślał zaintrygowany ajent. Może list miłosny poprostu.

Uczynił znak koledze i podczas pauzy w korytarzu obydwaj naradzać się zaczęli półgłosem.

Czy należało przy wyjściu z teatru przystąpić do baronowej i zmusić ją do udania się z nimi do dyrekcyi policyi, czy też przeszukać ją natychmiast i wrazie pomyłki przeprosić, zwracając jej wolność?

Jednakże nie ośmielili się użyć na własną odpowiedzialność żadnej z tych ewentualności. Jeżeli to była rzeczywiście pomyłka z ich strony, wybuchnąłby z tego nazajutrz okropny skandal w dziennikach, za który przed władzą odpowiadać byliby zmuszeni.

Po naradzie więc Brisemille powrócił na salę, a Touffe pobiegł do telefonu wysłuchać rozkazów prefekta policyi.

— Podobne aresztowanie jest niemożliwe — powiedział prefekt — ale być może, że teraz wpadliśmy na ślad właściwy... śledźcie dalej baronową i przekonajcie się, czy po przedstawieniu nie spotka się z daną osobą w odosobnionem miejscu jakiem.

Baronowa Olga nie zostawała nigdy w teatrze na ostatnim akcie. Jak tylko kurtyna zapadła po akcie trzecim, wstała i spiesznie opuściła lożę.

— Stangret Armand z ulicy Bosquet. — rzuciła podbiegającemu posługaczowi, znalazłszy się już w wyjściu.

Dotąd baronowa nie mogła się nigdy zdecydować na kupienie automobilu, utrzymując, że najlepszy jeszcze nie dorówna powozowi dobrze zaprzęgniętemu, a przytem huk maszyny niemile działał na jej przeczulone nerwy.

W dwie minuty później powóz baronowej podjechał pod chodnik.

Baronowa otulona szczelnie w wspaniałe futro, zeszła szybko ze schodów nie rozglądając się i zawołała wsiadając:

— Do domu, Armandzie!

Konie dotknięte batem, ruszyły żywo z miejsca.

Brisemiele i Teuffe wyszli ze sali równocześnie z baronową i podczas, kiedy jeden z nich podchwytywał jej słowa, rzucone do stangreta, drugi pobiegł po dorożkę.

W tej chwili przejeżdżał wolnym biegiem koło teatru automobil. Szofer ujrzawszy ajenta, zawołał uprzejmie.

— Automobil doskonały do usług księcia pana!

Był to jeden z tych szoferów, którzy nie czynią sobie żadnych skrupułów, posługując się maszyną swoich panów, kiedy ci jej wyjątkowo na wieczór nie potrzebują. Touffe odgadł to natychmiast.

— Jedźmy! — rzekł — Służba policyjna i jeżeli nie wykonasz naszych rozkazów... zaaresztuję cię, rozumiesz. To cię oduczy od włóczenia się po nocy...

Tymczasem powóz baronowej po przebyciu placu Zgody toczył się teraz wzdłuż Sekwany ku culy la Reinei.

Nagle z ciemnego jakiegoś kąta rozległ się lekki, przeciągły gwizd. Powóz zatrzymał się natychmiast.

Na rozkaz Brisemiele'a automobil toczący się bez hałasu w niedalekiej odległości z przygaszonemi latarniami uczynił tosamo.

Wówczas, pomimo zalegającej ciemności, ajenci dostrzegli sylwetkę mężczyzny, wyłaniającą się ciemni.

Człowiek ten doszedł do powozu, otworzył drzwiczki i natychmiast ostry krzyk przerażenia rozdarł powietrze.

— Jedź za nimi — rozkazał Brisemiele szoferowi — i staraj się nie stracić ich z oczu, rozumiesz? Jednakże — dodał zwracając się do kolegi — prefekt miał dobry węch. Trzymamy ich na dobre!

Stangret baronowej nawrócił i jechał teraz tąsamą drogą, jaką przybył. Ale wyjeżdżając z placu Zgody, dojechał do bulwarów i spieszył teraz ku Bastilii, nie przeczuwając, że jest śledzony.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Wrażenie z Tatr w zimie: Iglice tatrzańskie w śniegu.

Wrażenie z Tatr w zimie.

Opadła drżąca, migocąca w skrzącem świetle słońca chmura białych motyli śniegowych okrywając góry i lasy wrzącym jak ukrop odmętem. Zdaje się, że zbłękitnione kwiecie rozpachniało się wokoło. W jarach, otoczonych białemi czapami drzew, panuje jeszcze miękka pomroka cieniów, które przylepione do nachylonych skał nagle ku górze, rozwidniają się płachtami śniegowemi z samych dyamentów utkanemi. Na chwilę zerwał się pajęczy głos wichru, potem wybuchnął gwałtownie, jakby stada rowścieklonych wilków wyły, że zaszumiały bory, jak psy na uwięzi trzymane i — w tej chwili szarobiała mgła rozprostowała palce. Przegięły się drzewa, pościągały czapice, jak przed dziwnem słowem gór, świętem. Potem wszystko stało dech w piersiach. Gdzieś obok słychać tylko koronkowy szum strumienia wtopionego w śniegową przędzę, miękką, jak westchnienie muzyką. Strumień wązką bruzdą, schowany przez pół pod zbłękitniony szal lodu wije się granatową smugą. Na chwilę zajaśniał, zadrgał odblaskiem zachodzącego słońca, zatrzepotał jakby z tęczy utkane skrzydła ptaków, w pewnem miejscu spienił się, tłum pobiały śniegowej złączył się z metalicznym szczebiotem muzyki, potoku, który powoli począł gasnąć zatracać kontury, szara, matowa powłoka pościeliła się po lśniących szybach, ciemniała, potem nagle wszystko zgasło. Zdaje się, że jakieś uderzenie w oczy kastetem zaćmiło oczy tak się w koło czarno zrobiło. Ale po chwili poczęło się znowu z ciemnogranatowego sklepienia, jak pył nasiąkły światłem, zebranem z promieni słonecznych rozkwiecać mrowisko światła. Na niebie zabłyszczał księżyc jak potężny dyament wszyty w czerń oklepy. Pajęczyną rozsnuła się perłowa jasność, otulona w błękitne ramki. Ma się takie wrażenie, jakby to był wiatr który gdzieś wkopany w białawą powódź, w dali słychać przygania fale sypkiego światła przez mroczne cienie. Gdzieś obok urwała się srebrna okiść i kaskadami dyamentu spadła w ciemń przepaści. W pewnem miejscu potok, snujący się siwą płachtą rozlewisk zadrgał jasnem szkliwem, a brzegi nasiąkły granatowo fioletowym światłem. Swiat cały i wbite w strop igli wiatr gór tonął w stłumionych brzaskach ametystowej nocy i zdawało się, że w okamieniałej ciszy kłębi się war modlitewnych błagań, jakiś rozpłakany chór człowieczej niedoli wije się w bólu i jakieś bełkotliwe echa rozpłaszczają się po puszystych ścianach okien. Co chwila wybuchały nowe kępy światła, przebierające szklanno-granatowemi palcami wśród omszonych śniegiem gałęzi drzew, które stały nieme, zasłuchane i jedynie wokoło skrawki cieni przytulone do bruzd na podściułku bieli mrzyły się stłumioną tęczą, która przędzie subtelne gwiazdki kryształów. Po nachylonych zboczach gór księżyc roztapia wszystko w czyste światło, roznoszą wokoło pasmo białych nici. Wszędzie tylko cisza Tatry usypiały.

Z sali koncertowej.

Staraniem krakowskiego Biura koncertowego E. Bujański, wystąpił w Krakowie dnia 10 lutego w sali Sokoła z jedynym koncertem p. Leon Hoff-Cortilli, Krakowianin znany zaszczytnie u nas ze swych koncertów przed wojną.



Z sali koncertowej: Leon Hoff-Cortill w roli Tamino.

Hoff Cortilli pierwszy tenor oper zagranicznych śpiewał z ogromnem powodzeniem w Zurychu, Berlinie, Norymberdze i Gracu. Wspaniała rozpiętość głosu, wysoka skala emisyi, doskonałe opanowanie wszystkich walorów wokalnych, zalety niepowszedniej wagi, wybiły naszego rodaka odrazu na czoło tenorów pierwszorzędnego znaczenia. Podziwia się metaliczność głosu, znakomite opanowanie strony uczuciowej i zrozumienie treści interpretowanych partyi, które wypełniały bogaty repertuar koncertu. Przez czas wojny głos znakomitego tenora nabrał, że się tak wyrażę, męskości rozwoju, dając nam artystę *par excellence*. W ten sposób szeregi naszych tenorzystów zostały pomnożone przez wielkiej



Wrażenia z Tatr w zimie: Strum k snujący się wśród nasypów śniegowych.



Wrażenia z Tatr w zimie: Malowniczość lasów pod osłoną śniegową.



Komenda miasta Warszawy. Pułkownik Zawadzki.

wagi artystę, i dlatego słusznie zagranica podnosiła entuzyastycznie wielką wartość głosową p. Hoff-Cortilli. Żałować należy, że koncert dany w Krakowie jest tylko jedyny W każdym razie i za ten jedyny należy się wdzięczność Biuru koncertowemu, które z taką troską dba o podniesienie kulturne naszego miasta.

Komenda miasta Warszawy.

Komenda miasta Warszawy spoczywa w rękach pułk. Zawadzkiego. Dzielny żołnierz z całem poświęceniem oddaje się pracy na trudnej i odpowiedzialnej placówce, mającej z natury rzeczy w sobie wiele przeszkód i trudności. Adjutantem przy pułkowniku Zawadzkim jest por. Mieczysław Wierzchowski. Przed wojną był on dziennikarzem w Krakowie i na tem stanowisku zyskał sobie poważanie i sympatyę kolegów. Skoro wybuchła wojna, czując wagę obowiązków, jakie wypadki na każdego Polaka położyły, rzucił swoją ukochaną pracę dziennikarską i wstąpił do wojska. Odbył całą kampanię wojenną, gdzie się odznaczał jako dzielny i twardej służby żołnierz, przeszedłszy przez szereg walk. Obecnie przeniesiony na stanowisko adjutanta oddaje się z całym zapałem powierzonej pracy.



Komenda miasta Wyrszawy: Adjutant por. Mieczysław Wierzchowski.

Górnoślązacy w Częstochowie.

W chwili, kiedy ziemie polskie z pod zaboru Niemców wracają do nas, niezliczone wycieczki obchodzą ziemie nasze, aby po długiej rozłące poznać się znowu, aby znając się, wziąść tem intenzywniej do pracy. Z radosnem wzruszeniem i w głębokiem skupieniu zbliżają się dziś Górnoślązacy do pamiątek dawnej naszej świetności, które wskazują, że przyszłość mamy przed sobą jasną i promienną tak, jak wielką jest nasza tradycya. Przed kilku dniami bawiła w Częstochowie wycieczka Górnoślązaków. Pierwszym krokiem była Jasna Góra, która tyle wspomnień nasuwa. Szwedzi, obrona bohaterska, nieszczęsna dola Jana Kazimierza, ksiądz Kordecki. Wszystkie te myśli snują się różańcem tysiącaścen.



Górnoślązacy w Częstochowie: Grupa Górnoślązaków zwiedzająca Częstochowę.

Wycieczka stanęła przed cudownym obrazem Matki Boskiej i zdawało się, że tu nawiązuje się nowe przymierze, między tymi szermierzami o ziemie wschodnie, a całą Polską. Górnoślązaków oprowadzono po miejscach wszystkich pamiątek. Przyjmowano ich nadzwyczaj gościnnie i z otwartemi ramionami.

Klęski powodzi w Europie.

Przed niedawnym czasem byliśmy w poważnej obawie wylewu Wisły, której stan wody wskutek olbrzymiego napływu z gór, a zwłaszcza bardzo częstych opadów atmosferycznych, groził istotnem niebezpieczeństwem. Akcya ratunkowa w tym kierunku prowadzona wymagała szybkiego zadecydowania, wobec którego musiało być w obawie zalania niżej położonych dzielnic. W obecnej chwili tak trudnych warunków, kiedy człowiek na każdym kroku walczy z tysiącem ciężarów, kiedy każdy najmniejszy nawet przedmiot chroni się, jakby największy skarb dla ludności mieszkającej nad brzegiem rzeki, wylew byłby klęską olbrzymią. Szczęśliwie niebezpieczeństwo minęło, czy jednak wiosenne roztopy nie zagrożą jakiem nowem niebezpieczeństwem, należy się poważnie obawiać. Inaczej jednak sytuacya przedstawiła się w innych krajach. We Francyi wylewy przybrały szerokie rozmiary, niszcząc wszystko po drodze. Niektóre miasta stanęły odrazu pod wodą. Prowadzona nadzwyczaj energicznie akcya była tu niczem wobec żywiołowej siły parcia wody. Ostatecznie skierowano ją do takiego stopnia, aby uratować co się da. Niestety w przeważnej ilości wypadków ratunek okazał się tutaj minimalny wobec rozmiarów klęski. Miasta, które dziś stały się Wenecyą, wyglądają dość interesująco, ale wobec szkód, jakie się równocześnie ponosi, patrzy się na to wszystko z rozpaczą.



Klęski powodzi w Europie: Wenecka komunikacya podczas powodzi w jednem z francuskich miasteczek.



Klęski powodzi w Europie: Z powodu zalania przez wodę ulic komunikacyi parterowych do mieszkań wchodzi się przez okna.

Robert Hichens.

BERBERYJSKIE KOZY.

(Tłumaczenie z angielskiego).

3

— „Kus-kus“ baraninę z ryżem czy z czemś z korzeniami.

— Na Jowisza, Kitty, znasz już zwyczaje arabskie! Skąd się o tem dowiedziałaś?

— Jest tutaj taka książka — odrzekła sucho — Czy idziesz dzisiaj spać o ósmej?

— Jestem porządnie zmęczony. Mam zamiar znowu wstać o trzeciej. Spałaś jak suseł, kiedy do ciebie zaglądałem w nocy.

— Ah! — rzekła — teraz wiem jak śpią susły.

— Co chcesz powiedzieć?

— Nic. Idź już spać.

Nie ociągał się z wypełnieniem rozkazu, kozy go zmęczyły, mógłby spać nawet stojąc.

IV.

— Czy „kus-kus“ był dobry? — zapytała lady Wyverne w pół godziny później, idąc ze spahisem oświeconą księżycem drogą pomiędzy wałem skał, których fantastyczne, czarne kontury rysowały się na tle pogodnego nieba. Szum rzeki głuszył ich rozmowę.

— Nie mogłem jeść, madame.

— Dlaczego?

— Myślałem o moim jutrzejszym wyjeździe, daleko, do Zibans, do domu mego ojca.

— Niedorzeczność! — rzekła, wzruszając ramionami — Co do mnie, miałam doskonały apetyt.

Milczał. Miał zarzucony na ramiona fałdzisty, szkarłatny płaszcz, który nosił z godnością i dumą właściwą arabskiej rasie. Patrzała na niego z ukosa.

— Ale prawda, nie wyjeżdżam jutro.

Oczy jego błysnęły jak płomienie.

— Madame?

— Zostajemy kilka dni dłużej. Kozy, wie pan! — zaśmiała się, lecz bez wesołości. — Pan pojedzie konno z Beni-Mora? — dodała — Zdaje mi się, że kolej tam się kończy.

— Tak, madame, z Beni-Mora jadę konno.

— Jak długo?

— Trzy dni.

— I ciągle pustynią?

— Ciągle pustynią.

— I będzie pan w domu. Jakie to dziwne!

Myślała o Chester street, Belgrave gdzie po raz pierwszy ujrzała światło dzienne. Co za przepaść dzieliła ją od tego człowieka, z którym teraz awanturniczo szła wśród dzikiej pustki! A jednak fałdy jego płaszcza dotykały jej sukni i mogła widzieć jego pałające oczy, kiedy rozmawiając, zwracał do niej swą twarz. A ona, jej się zachciało znaleźć most nad tą przepaścią, zbliżyć Chester-street do Zibansu. Nie była ograniczoną i jako kobieta posiadała dużo intuicyi, wiedziała, że Zibans nie może się zbliżyć do Chester-street.

Poza wąwozem, rozlewając się w szersze koryto, rzeka płynęła spokojniej, dążąc do drzew palmowych pierwszej oazy. Przez naturalną bramę w skałach przedstawił się ich oczom widok rozległej srebrzystej krainy, jakby miraż nieskończoności. Lady Wyverne stanęła.

— Nie pójdziemy dalej — rzekła — Tutaj zatrzymaliśmy się wczoraj.

— A dzisiaj jeden krok dalej, madame. Jeden mały kroczek.

— Nie, nie!

Wyciągnął rękę wskazując w dal.

— Woła nas!

— Kto?

— Pustynia, madame. Proszę słuchać.

Lady Wyverne spojrzała na niego. Wyrzekł te słowa z taką powagą, że nie przyszło jej na myśl się uśmiechnąć. Wytężyła nawet słuch, jakby spodziewając się, że doleci ją jakiś głos z dali. Lecz w głębokiej ciszy nocy słyszała tylko szum rzeki.

— Nie słychać żadnego głosu — rzekła w końcu.

— Jest głos dla mnie — odrzekł — lecz ja jestem synem pustyni.

— Czy pan ją kocha?

— Należę do niej. Nie ma żadnej tajemnicy przedemną. Posiadłem całą jej wiedzę.

— Czy mogłabym posiąść ją także? — mówiła z niezwykłą sobie skromnością.

— Tylko w towarzystwie takiego człowieka, który do niej należy.

— A zatem nie posiądę jej nigdy! — rzekła z dziecinnym żalem.

— Dlaczego nie?

— Co za niedorzeczne pytanie!

— Można się nauczyć wszystkiego, czego się chce. Ja — mówił z dumą — nauczyłem się być francuskim oficerem.

— Ja zaś, doprawdy nie czuję się zdolną nauczyć się być arabską kobietą. A zresztą pan wie równie dobrze jak ja, że mężczyźni mogą czynić tysiące rzeczy niedostępnych dla kobiet.

— Nawet kobieta może pójść krok dalej — rzekł.

— Oh! Dobrze już, to niema wielkiego znaczenia.

I postąpiła naprzód. Uśmiechnął się idąc za nią.

Wyszedłszy z wąwozu znaleźli się w pełnem świetle księżyca. Nagłe przejście z zacieśnionego wąwozu w przestwór pustyni było przejmujące i uczucie osamotnienia i lęku obudziło się w Lady Wyverne. Uderzyła ją myśl, że ten jej kaprys nietylko przeciwny wszelkim konwenansom, może być czemś więcej jeszcze. Wspomniała na „Crumpet“ chrapiącego spokojnie w hotelu i poraz pierwszy pożałowała, że go opuściła. Spahis, patrzący z uwagą w jej twarz, czytał w niej z dokładnością, cechującą Arabów ciągle na baczności, żeby przeniknąć charakter i myśli europejczyków, wszystkie jej uczucia i rzekł sentencyonalnie:

— Kto lubi nadzwyczajność, nie powinien się jej lękać.

Lady Wyverne zarumieniła się. Gniewały ją prawie jego przenikliwość i pewność siebie.

— Nie boję się niczego — rzekła — pan mnie nie rozumie. Stanęła na drodze. — Nie czyni się tego, czego się obawia.

— A jeżeli to coś, czego pragniemy, madame?

Postąpił krok naprzód i spojrzał Lady Wyverne jakby wzywając, żeby szła dalej, a widząc, że się nie rusza, zatrzymał się z pogodną rezygnacyą.

— Doprawdy, o czem też rozmawiamy! — rzekła, wzruszając ramionami.

— O pani kroku dalej.

— Uczyniłam go już. A teraz wracam.

— A jutro?

— Jutro pana tutaj nie będzie.

— Lecz — jeżeli ja także dam się skusić i zostanę? Berberyjskie kozy, madame, berberyjskie kozy! Zaśmiał się.

— Jutro pójdę spać o wpół do dziesiątej — odparła Lady Wyverne tonem cnoty za wielkiej, żeby mogła przekonać. Powietrze pustyni nuży mnie.

— A mnie daje życie.

Stał tak blisko, że czuła ciepło jego płaszcza i dolatywał jej zapach wschodnich perfum.

— To jest różnica między nami — dodał — że ja czuwam i jestem pełen życia, pani drzemie, a on — śpi głęboko.

— On — kto? — zapytała zdziwiona tonem jego głosu.

— Milord, mąż pani. Ale chociaż pani drzemie, jednak nie śpi. Pani mogłaby być tak rozbudzoną jak ja, gdyby tylko — zatrzymał się i spojrzał na nią.

— Gdyby tylko co?

— Gdyby tylko pani się nie bała obudzić i czuć radość życia.

Z wyciągniętem ramieniem, z którego spływały fałdy jego szerokiego płaszcza zdawał panować nad nią. Zapach perfum, wydzielający się z barwnych jego szat, przywodził na myśl coś tajemniczego, jakąś ekstazę, do której można było dojść po długiej wędrówce wdal.

— Lecz pani się boi — dodał — pani się bardzo boi.

Wtem dał się słyszeć przenikliwy krzyk w stronie wąwozu, krzyk napoły ludzki, napoły zwierzęcy. Lady Wyverne zadrżała i instynktownie chwyciła się ramienia spahisa. W jednej chwili fałdy szkarłatnego płaszcza ją otuliły. Krzyk się powtórzył przeciągły, bliski i z wąwozu wybiegł człowiek na oświeconą księżycem drogę. Twarz jego była piękna i blada z kędzierzawą ciemno-blond brodą, błędnemi, nie spokojnemi, niebieskiemi oczami. W delikatnych swych rękach trzymał duży kij. Miał na sobie jaskrawo-zieloną szatę, a na głowie zielony turban w czerwone pasy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

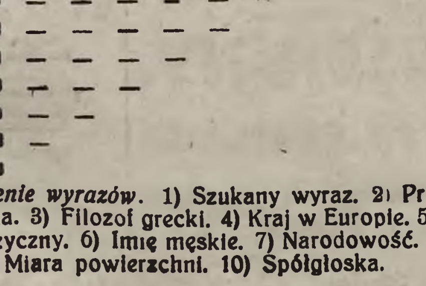
Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę P. T. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania **wszystkich** zagadek.

Zagadki do nagrody.

Trójkąt magiczny.
Ułożył M. Wolski, Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwę afrykańskiej wyspy.



Znaczenie wyrazów. 1) Szukany wyraz. 2) Prowincya hiszpańska. 3) Filozof grecki. 4) Kraj w Europie. 5) Instrument muzyczny. 6) Imię męskie. 7) Narodowość. 8) Rasa konia. 9) Miara powierzchni. 10) Spółgłoska.

Kwadrat magiczny.
Ułożył J. Opolski, Kraków.

Z podanych liter ułożyć cztery wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a a a
a a a a
d d d m
r r r s

Znaczenie wyrazów: 1) Imię żeńskie biblijne. 2) Miasto na Węgrzech. 3) Zebranie poważnych ludzi. 4) Imię męskie.

Zagadka literacka.
Ułożył J. Wieczyński, Zakopane.

Wynaleźć tytuły utworów wymienionych pisarzy. Początkowe ich głoski, czytane z góry na dół, utworzą nazwisko polskiego ministra.

Mickiewicz?
Słowacki?
Kochanowski?
Prus?
Sienkiewicz?

Zadanie na rozsypane litery.
Ułożyła H. B., Stanisławów.

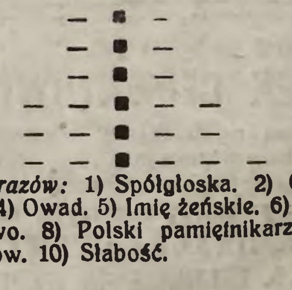
Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:
a, a, c, d, d, e, e, i, i, i, i, k, k, k, k, ł, m, m, n, o, o, o, o, p, p, p, s, t, w, w.

Zadanie na rozsypane litery.
Ułożył G. S., Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:
a, a, a, a, c, d, i, k, ł, o, s, s, s, t, u, u, z, z.

Logogryf.
Ułożył H. R., Krosno.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, poda nazwisko polskiego powieściopisarza.



Znaczenie wyrazów: 1) Spółgłoska. 2) Okres czasu. 3) Samogłoska. 4) Owad. 5) Imię żeńskie. 6) Zwierzę drapieżne. 7) Drzewo. 8) Polski pamiętnikarz. 9) Miejsce święte dla Turków. 10) Słabość.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył X. Y, Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:
Jakut U. Wisz, worl... Lupal

Grzebieniówka.

Ułożył K. Zagrodzki, Warszawa.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w pionowych szeregach powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd poziomy poda jedną z prac, jakie w najbliższym czasie oczekują nasz Sejm.

■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■

— — — — — —

— — — — — —

— — — — — —

— — — — — —

Znaczenie wyrazów: 1) Staropolska zabawa. 2) Szczyt w Tatrach. 3) Modny taniec. 4) Miasto w Czechach. 5) Starożytny Grek. 6) Istota nadziemska.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody. 1) Odrodzenie Polski (Dzieje Polski od zamierzchłej przeszłości do chwili obecnej). 2) paczkę papieru listowego (25 arkuszy i tyleż kopert).

Rozwiązanie zagadek z Nru 4.

Logogryf. K, nos, n, gil, Ren, Waoek, paści, rower, glina, brama, Natan, Stradom.

Przysłowiówka. Kij ma dwa końce. Co głowa, to rozum.

Okienko. Wisła, sokół, Asłan.

Przysłowiówka. Niedaleko pada jabłko od jabłoni. Jakie drzewo, taki klin.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: K. Armatys Ostrów, J. Zawadzki Kraków, M. Myszkowska Lwów, S. Sokołowski Rzeszów, J. Jaworski Lwów, M. Kamiński Zakopane, H. Obst Lwów, K. Lipska Warszawa, M. Ogrodnik Lwów, J. Kotowicz Kraków, D. Rosenbaum Rzeszów, M. Kopf Stryj, W. Lipski Wiedeń, L. Topolnicki Sandomierz, W. Raczyński Tarnobrzeg, E. Grzywiński Łódź, M. Jankowska Lwów, Z. Gawlikowska Warszawa, S. Krzyżanowski Kraków, T. Lasocka Lwów, M. Błachowska Warszawa, S. Fijałkowski Lublin, M. Balićka Wadowice, L. Kołodziejski Częstochowa, S. Bieżkowski Jaworów, E. Niemojewski Zakopane, L. Ostrowski Sanok, H. Nowicki Zakopane K. Ebers Warszawa, M. Kalinowska Lwów, H. Więckowski Tarnów, M. Haber Kraków, J. Łyżwiński Warszawa, L. Rogalski Kraków, D. Łempicki Warszawa, K. Bartoń Lwów, T. Tokarski Kraków, J. Celewicz Sambor, L. Rojek Bochnia, L. Ostaszewski Lwów, H. Dudek Jabłonów, M. Mulicka Poznań, K. Gross Kraków, W. Osadziński Brody F. Broczkowski Ruda Brodzka, C. Górny Limanowa, J. Stępień Warszawa, H. Bilińska Tarnów, M. Rosenberg Rzeszów, R. Dolnicki Jasło, W. Lisiewicz Łódź, J. Kapłoński Kraków.

Nagrodę przez losowanie otrzymali: 1) Z. Gawlikowska Warszawa (książka) 2) K Gross Kraków (papier listowy). Upraszamy o nadesłanie 75 hal. na koszta poleconej przesyłki nagrody.

Odpowiedzi Redakcyi.

WP. St. M., Sandomierz. Tak jest! Tylko opłacający prenumeratę za „Nowości Illustrowane" wprost w centralnej Administracyi, Kraków XV., ul. Kazimierza Wielkiego 95, będą mieli prawo ubiegania się o dopuszczenie do losowania nagród za rozwiązanie naszej Wielkiej Szarady konkursowej, która pojawi się już w najbliższym czasie. Bliższe szczegóły podane będą w warunkach ubiegania się o nagrodę, które podamy równocześnie z szaradą.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina. Pod zarządem Stefana Karczmarskiego.